

KAWEH  
PUR RAHNAMA

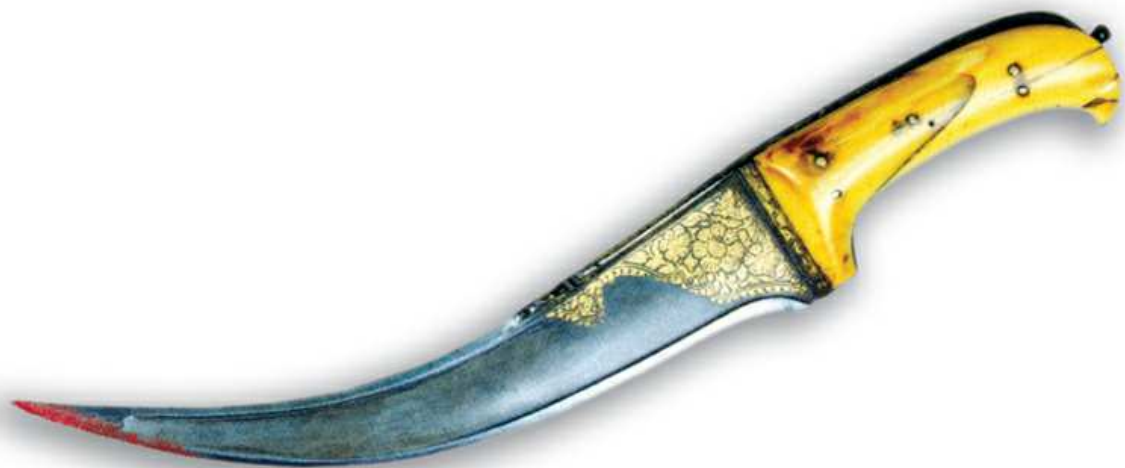


DZIESIĘCIU  
IRAŃCZYKÓW  
I

TRUP

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna

W WARSZAWIE



Kaweh Pur Rahnama

DZIESIĘCIU  
IRAŃCZYKÓW  
I  
TRUP  
W WARSZAWIE

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna

Wydawnictwo Akademickie DIALOG  
Warszawa 2015

Redakcja i korekta: MAGDALENA PLUTA  
Okładka: KATARZYNA TERECHOWICZ  
Skład i łamanie: EWA MAJEWSKA

Copyright © by Kaweh Pur Rahnama and Wydawnictwo Akademickie Dialog 2006

Przekład został dofinansowany przez Svenska Institutet

ISBN e-pub 978-83-8002-390-1  
ISBN mobi 978-83-8002-391-8

Wydawnictwo Akademickie DIALOG  
00-112 Warszawa, ul. Bagno 3/218  
tel./faks (+48 22) 620 87 03  
e-mail: [redakcja@wydawnictwodialog.pl](mailto:redakcja@wydawnictwodialog.pl)  
WWW: [www.wydawnictwodialog.pl](http://www.wydawnictwodialog.pl)

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna

# Spis treści

Karta redakcyjna

Dedykacja

DZIESIĘCIU IRAŃCZYKÓW  
I TRUP W WARSZAWIE

Od Autora

O Autorze

Informacje o wydawnictwie

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna

Pamięci mojej żony – Izy

**L**ysy wyjął pocztę ze skrzynki w korytarzu. Zostawił listy na stoliku w kącie pokoju, żeby przeczytać je spokojnie później. Jak zwykle o tej porze zaparzył sobie ulubioną kawę Jacobs, na którą co miesiąc wydawał parę dolarów w Peweksie. Stawiając filiżankę na stole, rzucił okiem na rozsypaną stertę kopert. Jego uwagę przykuło nazwisko nadawcy na jednej z nich. Wszystkiego mógł się spodziewać, tylko nie tego. Pośpiesznie rozdarł kopertę i zaczął czytać:

*10.09.1968 r.*

*Szanowny Panie!*

*Mój list będzie zapewne dla Pana takim samym zaskoczeniem, jakim dla mnie była wiadomość, że prowadzi Pan kancelarię adwokacką. Pozwoliłam sobie jednak napisać, bo bardzo potrzebuję Pańskiej rady. Dołączam notatkę z „Życia Warszawy”. Pan niewątpliwie pamięta sprawę, o której w niej napisano, ale na wszelki wypadek przypomnę, że chodzi o zabójstwo Zarrina, radcy handlowego przy ambasadzie Iranu w Warszawie. Wiem, że człowiek o to oskarżony jest niewinny. Dlatego proszę o spotkanie w dogodnym dla Pana terminie. Mój adres: Towarzystwo Opieki nad Ociemniałymi, Zakład dla Niewidomych w Laskach.*

*Z poważaniem  
Helena Czajkowska*

W kopercie znalazł wycinek z gazety informujący o rozpoczętym procesie sądowym niejakiego Śledzika, oskarżonego między innymi o zabójstwo dyplomaty z pewnego kraju orientalnego.

Jeszcze raz przeczytał list, dokładnie, słowo po słowie. Poczuł się, jakby dostał pałką w łeb. Jak to? Ona, ta wrażliwa humanistka? Zrobiła z niego durnia, suka fałszywa! Przez cały czas wiedziała, kto

zamordował Zarrina, i bez mrugnięcia okiem kłamała! Z furią rzucił list na stół. Wyciągnął carmena i zapalił. Zaciągając się dymem, pomyślał: „Właściwie po jakiego chuja przejmuję się tą historią? Mało mi było nerwów, stresów? Zalewania się w trupa, żeby zapomnieć o całym tym szambie...”.

Znów spojrzał na list i podpis: „Helena Czajkowska”. Dwa lata temu był przekonany, że mówiła prawdę; wierzył jej. A jednak coś przeoczył. Wiedział, że teraz nie zazna spokoju, póki nie rozwiąże tej zagadki. Zbudził się w nim instynkt byłego oficera wydziału zabójstw. Ale czuł, że zanim się spotka z tą kobietą, musi jeszcze raz zajrzeć do tamtego dawno zapomnianego dziennika. Traf chciał, że natknął się na niego poprzedniego dnia, szukając jakiegoś dokumentu. „Może to wcale nie był przypadek, że wpadł mi w ręce?”, przemknęło mu przez głowę. Podszedł do biurka. Leżała na nim czarna aktówka z odręcznie opisaną naklejką „Dzienniki uchodźcy”. Wziął ją i wrócił do stolika przy oknie, gdzie wcześniej postawił porcelanową filiżankę z gorącą kawą, której zapach wypełniał cały pokój. Rozsiadł się wygodnie w fotelu, pociągnął łyk napoju i otworzył aktówkę. Przez dłuższy czas wpatrywał się w kartki, starając się skupić myśli. Z zakamarków podświadomości powoli zaczęły napływać luźne obrazy związane z zapiskami.

Dwa lata temu, w poniedziałek 12 września 1966 roku, zbudził go uporczywy dzwonek telefonu. Sięgnął po słuchawkę.

– Łysy? – spytał głos z drugiej strony.

– Słucham – odpowiedział zachrypniętym głosem, z trudem przedzierającym się przez wysuszone gardło.

– Mówi Sadowski, za dwadzieścia minut przyjedzie po ciebie samochód, rusz swój zgrabny tyłek i zbieraj się.

– Co się dzieje? – Łysy otworzył oczy, ale nieznośny ból kazał mu je natychmiast zamknąć.

– Szef chce z tobą rozmawiać – wyjaśnił Sadowski. – Nie mogę gadać, mam drugi telefon. W każdym razie sprawa jest poważna, szykuj się.

W słuchawce rozległ się przerywany sygnał. Co tam, i tak nie był w stanie prowadzić rozmowy. Pulsujący ból wędrował od tyłu głowy, sięgając gałek oczu. Takiego kaca dawno już nie miał. Popatrzył na zegarek. Była 5.45.

Wstał, powoli podszedł do stołu. Z każdym krokiem ból się nasilał. Musiał szybko znaleźć coś do picia. Na stole stały talerze z resztkami jedzenia z wieczornego przyjęcia urodzinowego i parę pustych butelek po wódce. Na środku królował prezent – wypchany bocian, trzymający w dziobie zawiniątko z dzieckiem.

Zapach resztek jedzenia i wódki spotęgował mdłości. „No i dobrze, masz za swoje”, pomyślał. Pobiegł do łazienki, nachylił się nad sedesem, włożył do gardła dwa palce i zwymiotował. Przeplukał usta, obmył twarz i z niesmakiem spojrzął w lustro – nie wyglądał najlepiej z podpuchniętymi oczami. Przetarł rękami lepką skórę ogolonej głowy, której zawdzięczał swój przydomek „Łysy”. Podszedł do lodówki, wyjął mleko. Wypił cały litr duszkiem, prosto z butelki, ale wciąż miał sucho w gardle. Rozejrzał się wokół, ani śladu kawy. Stanął przy krześle, na którym wisiła marynarka, zaczął szukać papierosów w kieszeniach – nic. Tylko masa niedopałków wciśniętych w talerzyki z resztkami jedzenia. Jeszcze nie skończył się ubierać, kiedy usłyszał dzwonek do drzwi.

Na zewnątrz było szaro i wilgotno. Przed domem czekała zielonkawa skoda. Usiadł obok kierowcy. Pierwszą rzeczą, o którą zapytał, były papierosy.

– Carmenów nie mam, panie kapitanie, ale proszę, stare, zasłużone sporty – kierowca podsunął Łyseму paczkę. Wziął jednego i zapalił.

– Panie Stasiu, pan nie wie, po co ten pośpiech? – spytał.

– Zdaje się, że znaleziono zwłoki ambasadora Iranu.

Smak sporta przyprawił Łysego o nową falę mdłości. Otworzył szybę i wyrzucił go na zewnątrz z odrazą. Kierowca zaniósł się astmatycznym śmiechem. – Tak myślałem, że to nie dla pana kapitana.

Śmiech kierowcy drażnił go, bo głód papierosa w połączeniu z pulsującym bólem głowy, po nocnym picciu, nie dawał mu spokoju, zwłaszcza że w mieście o tej porze ani jeden sklep nie był otwarty.



Kiedy pokazał się plac Konstytucji, Łysy poprosił kierowcę, by zatrzymał się przy hotelu MDM i wyskoczył do kiosku hotelowego po paczkę carmenów. Czekając, aż sprzedawca poda mu papierosa, zauważył na ścianie plakat: na tle morskich fal widniała duża tubka bułgarskiej pasty do zębów Pomorin. Ucieszył się – od pewnego czasu krwawiły mu dziąsła i dentysta polecił właśnie Pomorin. Poprosił sprzedawcę o pastę.

– Jest pan już szóstym, który o nią prosi. Synchronizacja do chrzanu, panie, zero synchronu. Takie to ich planowanie – kioskarz sięgnął do plakatu, by zerwać go ze ściany. – Jest pasta, nie ma plakatu, jest plakat – nie ma pasty.

Łysy nie miał ochoty wdawać się w dyskusję. Zapłacił i wyszedł z hotelu. Od razu przypalił papierosa. Po drodze zauważył, jak robotnicy wtykają w rurki na słupach dwie flagi: polską i irańską. Samochód znów ruszył, kierowca odwrócił się:

– Pan kapitan kiedyś palił cygara? Nawet mówili na pana Fidel. Ja wszystko wiem, panie kapitanie. No, brody Fidela to pan nie ma, ale jego Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna

Łysy milczał. Spojrzał tylko na kierowcę i lekko się uśmiechnął. Tępy, pulsujący ból nie ustępował, tyle że przemieścił się na przód głowy. Wreszcie samochód skręcił w bramę Komendy Głównej przy Puławskiej 150 i zatrzymał się na dziedzińcu. Łysy powędrował na drugie piętro, wprost do biura szefa. Podpułkownik Skalski, barczysty mężczyzna, podniósł na jego widok głowę znad papierów i wskazał mu krzesło po drugiej stronie biurka.

– Wiesz już, co się stało? – mruknął.

– Podobno zamordowano ambasadora Iranu – odparł Łysy.

– Wszyscy tak myśleli, dlatego zadzwonili do mnie już po piątej rano – powiedział Skalski i głośno chrząknął. – No, siadaj – polecił i mówił dalej: – Ale okazało się, że zabity był radcą handlowym. W kieszeni jego marynarki znaleziono tylko kilka wizytówek i parę innych drobiazgów. Poza tym mordercy ogołocili go dokładnie ze wszystkiego. W każdym razie, zrobiło się spore zamieszanie. Domyślasz się, o czym mówię? – Widząc pytające spojrzenie Łysego, Skalski wyjaśnił ponuro: – Zamordowanie pracownika ambasady tuż

przed przyjazdem szacha do naszego kraju to poważna sprawa. Wiesz synu, za trzy dni o dwunastej w południe do Warszawy przyleci szach, a tu taka afera. Rozmawiałem z kolegą z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, który osobiście zna ambasadora Iranu. Podobno facet jest historykiem, za chwilę podniesie alarm i – czego obawiamy się najbardziej – może spowodować odwołanie wizyty szacha. Kiedy dowiedziałem się o tym nieszczęściu, od razu pomyślałem o tobie.

Słuchając szefa, Łysy naliczył co najmniej dziewięć głośnych, nosowych chrząknięć. Sam nie wiedział, dlaczego zawsze bawił go ten dźwięk. Skalski miał deformację przegrody nosowej, co powodowało właśnie takie chrząknięcia. Kiedy mówiło mu się, żeby coś z tym zrobił, niezmiennie odpowiadał: „Nie mam czasu na duperele. A żonie się podoba, mówi, że ten dźwięk ma swój urok”. Wydał go znowu i zapytał poważnie:

– Ty przecież znasz arabski, prawda?

– Ja? – zdziwił się Łysy.

– Nie? O ile mnie pamięć nie myli, uczyłeś się tego języka.

– Przepraszam – zaczął ostrożnie Łysy. – W swoim czasie uczyłem się perskiego, ale to było bardzo dawno temu i po amatorsku.

– Dobra, ale w każdym razie znasz ich język.

– Troszeczkę, podstawowe rzeczy – odpowiedział Łysy. – Miałem dziewczynę, która studiowała iranistykę. Chciałem jej zaimponować, pożyczyłem kilka podręczników i też uczyłem się perskiego. Muszę przyznać, że nawet zacząłem trochę mówić i rzeczywiście imponowało jej to. Czasami rozmawialiśmy w tym języku. A potem, po jej śmierci... – urwał na moment – wszystko się skończyło.

– No widzisz, synu? – wykrzyknął Skalski zadowolony. – Pamiętałem o tym. Oczywiście nie chodzi mi tylko o język, po prostu widziałem cię w tej akcji – ojcowskim gestem położył rękę na dłoni Łysego. – Chcę mieć sprawcę przed przyjazdem szacha – widząc zdziwiony wzrok Łysego, lekko się uśmiechnął i spojrzał mu prosto w oczy: – Mam pełne zaufanie do naszego samotnego wilka.

– Dziękuję, panie pułkowniku. Postaram się nie zawieść.

– Nie zawiedziesz. Jak zwykle – powiedział Skalski. – No, teraz przejdźmy do konkretów. Koło 4.30 rano nasz patrol odkrył zwłoki mężczyzny między dwoma żywoplotami. W kieszeni denat miał kilka wizytówek, między innymi ambasadora – stąd to początkowe nieporozumienie. Funkcjonariusze po wstępnych oględzinach odwieźli zwłoki do Zakładu Anatomii Patologicznej. Poleciłem, żeby natychmiast wykonano sekcję i analizy chemiczne. Mam tu gdzieś protokół. – Przerzucając papiery na biurku, Skalski dodał: – Poza tym jedną, dwie ulice dalej nasi ludzie znaleźli samochód ofiary. W protokole znajdziesz wszystkie szczegóły – podał Łysemu kilka papierów i fotografię mężczyzny stojącego obok pięknego, białego konia.

– To zdjęcie ofiary znalezione w samochodzie. Zabezpieczyliśmy też inne przedmioty, które sam możesz zobaczyć. Tu masz numer domowy ambasadora Iranu. Nazywa się Homajun Sami. Musisz bardzo delikatnie powiadomić go o wszystkim i zapewnić, że nic nie zagraża życiu szacha Iranu. Pamiętaj, że gość jest podobno bardzo nerwowy. Jeszcze do niego nie dzwoniłem. Po pierwsze, za wcześnie, po drugie, chciałbym, żebyś ty to, synu, zrobił. Mówisz przecież po angielsku, dodasz do tego parę słów po arabsku, to ma znaczenie psychologiczne.

– Po persku, panie pułkowniku – uśmiechnął się Łysy.

– Aaa, sam najlepiej wiesz, po jakimu. W każdym razie to zawsze robi wrażenie. Wiedzą, że nie mają do czynienia z byle kim. No to do dzieła, synu, każda minuta się liczy. I o wszystkim masz mi meldować. – Skalski wstał, uściskał rękę Łysemu. – Samochód jest zabezpieczony na dziedzińcu komendy, zielony peugeot – zakończył, wręczając mu kluczyki.

Na dworze właśnie zaczynało padać. Łysy skierował się prosto do wozu z rejestracją dyplomatyczną. Otworzył przednie drzwi. W bocznych kieszeniach znalazł mapę samochodową Polski i głęboko wetknięte opakowanie prezerwatyw. W szufladce obok kierowcy była paczka winstonów, chusteczki higieniczne, mały czarny grzebyk, odświeżacz do ust i inne drobiazgi. Z tyłu za siedzeniem – niedbale rozrzucone egzemplarze „Newsweeka” i „Washington Post”. Obszedł

auto dookoła i otworzył bagażnik. W środku stała skrzynka whisky i kilka butelek piwa.

Łysy zamknął samochód i wrócił do swojego wozu. Spojrzał na zegarek. Dochodziła 7.00.

– Jedziemy – powiedział do kierowcy, podając mu karteczkę z adresem.

– Pan kapitan prowadzi sprawę ambasadora?

– Chciałem prosić, panie Staszku, żeby wszystko, co robimy, zostało między nami. Jedno, co mogę powiedzieć, to to, że zamordowany nie był ambasadorem, tylko zwykłym pracownikiem ambasady.

– Panie kapitanie – obruszył się stary. – Pracuję tu już tyle lat, że nie pamiętam, kiedy zaczynałem, wiem, co można mówić i do kogo.

– Wiem, wiem, panie Stasiu, ja tylko tak na wszelki wypadek – mruknął Łysy znad kart protokołu, które rozłożył sobie na kolanach i zaczął studiować.

Po kilkunastu minutach byli na miejscu. Posługując się szkicem z protokołu, Łysy odszukał miejsce, w którym znaleziono zwłoki. Nasilający się deszcz rozmywał obrysowaną białą kredą sylwetkę ofiary, dwa metry od chodnika, między dwoma biegnącymi równolegle żywopłotami. Zza jednego wyzierała kamienica, po drugiej stronie ciągnął się jakiś mur. Dwie ulice dalej obejrzał miejsce, gdzie odnaleziono samochód ofiary, i pomyślał, że stoi za daleko, żeby trupa ciągnięto od niego aż między żywopłoty.

Był już całkiem przemoknięty. Szybkim krokiem wrócił do auta. Kierowca z głową opartą o szybę spał sobie w najlepsze. Trzaśnięcie drzwi obudziło go.

– Tak tylko się zdrzemnąłem – powiedział.

– Teraz jedziemy na patologię – oznajmił Łysy.

Kierowca potaknął. Łysy podniósł kołnierz płaszcza. Udawał, że drzemie, choć tak naprawdę układał scenariusz rozmowy z ambasadorem. Jak go zapewnić, że sprawca zostanie wkrótce zatrzymany, skoro na razie nie ma ani żadnego śladu, ani pomysłu, jak do tego doprowadzić? Jedyne, co przyszło mu na myśl, to żeby

przeczesać środowiska przestępców w rejonie morderstwa i sprawdzić ich alibi. Możliwe przecież, że zabójstwo miało podłoże rabunkowe...

Po dwudziestu minutach samochód zatrzymał się przy szpitalu na Oczki. W chłodnej sali sekcji unosił się zapach lizolu. Na kamiennym stole leżały zwłoki, nad nimi stał patolog, rutynowo badający paznokcie nieboszczyka. Łysy od razu rozpoznał człowieka ze zdjęcia, ale dla pewności wyjął je z kieszeni i popatrzył jeszcze raz. Mężczyzna kierował uwodzicielskie spojrzenie w stronę fotografa. „To musiała być kobieta – pomyślał Łysy. – To ją tak czarował”. Potem spojrział na trupa. W jego otwartych oczach nie było śladu tego blasku ze zdjęcia. W kącikach ust zaschnięta krew. Na czole widoczne lekkie zasinienie.

– Krasawiec, prawda? – patolog wskazał głową na fotografię, którą Łysy trzymał w dłoni, a potem kontynuował już rzeczowym tonem: – Miał około 50 lat. We krwi 2,8 promila alkoholu. Tutaj jest czysto – wskazał na paznokcie. – Denat został pchnięty ostrym, zardzewiałym narzędziem w szóste międzyżebrze, raz a dobrze. Uderzenie musiało być bardzo mocne, bo w samym sercu jest otwór o głębokości 10 centymetrów. Ma siłę czło, mógł zostać czymś uderzony albo po prostu upadł na beton. Nie ma innych śladów. Śmierć nastąpiła prawie natychmiast, między 20.00 a 22.00.

Wyjął z kieszeni zmięty kawałek papieru i podał Łysemu, a ten wyczuł zapach świeżej wódki. „Kurczę, mnie też by się przydało”, pomyślał.

– Znalazłem to głęboko w jego kieszeni. Trzeba mieć wyczucie w palcach – potarł je demonstracyjnie. – A ci wasi funkcjonariusze szukają, kurwa, byle jak.

Łysy nie dał mu skończyć:

– Tutaj był gdzieś telefon?

– Był, ale się zmył.

Łysy skinął głową i skierował się do wyjścia. Za plecami usłyszał głos patologa:

– Przepraszam, panie kapitanie, tutaj nigdy nie było telefonu.

Nic nie odpowiedział. Dopiero na korytarzu rozwinął papier. Był brudny, prawie nieczytelny, dało się rozszyfrować tylko parę słów:

„...dzwoniłam kilka razy... spotkamy... Tobą skontaktuję... Twoja Kicia”. No, to już było coś.

Zszedł na dół, żeby zadzwonić z portierni. Wykręcił numer, który dostał od szefa. Telefon odebrał sam ambasador. Łysy przedstawił się i poprosił o spotkanie. Umówili się za pół godziny w ambasadzie.

Pan Staszek znowu spał za kierownicą. Po chwili namysłu Łysy uznał, że jest dość czasu, by wskoczyć do sklepiku na rogu i kupić coś do picia. Ciągle miał sucho w gardle. Nie było nic oprócz oranżady. Pociągnął kilka łyków. Miała smak obrzydliwie słodkiej landrynki. Zostawił resztę i wrócił do samochodu. Zbudził kierowcę, który uśmiechnął się przepraszająco:

– Całą noc jeździłem.

– Nie ma sprawy – uspokoił go Łysy. – Teraz do ambasady Iranu. Wie pan, gdzie to jest?

– Tak, Raszyńska.

Jechali w milczeniu. Obaj byli zmęczeni. Łysy wypalił już piątego carmena. Sekretarka zaprowadziła go od razu do gabinetu ambasadora, który siedział za biurkiem i zaafierowany konferował przez telefon. Nie przerywając rozmowy, uprzejmym gestem wskazał fotel. Łysy, wciąż stojąc, zwrócił uwagę na zdjęcia w srebrnych ramkach poustawiane na biurku: szach w ubraniu cywilnym; troszeczkę dalej jego żona, cesarzowa Farah Diba – uśmiechnięta, ładna kobieta. Między tymi dwoma stało inne – szach z żoną i synem pośrodku. Po drugiej stronie biurko dekorowały zdjęcia siostry szacha, księżniczki Aszraf, i jego matki. Na ścianie wisiał duży wizerunek szacha, który zdawał się tak wnikliwie obserwować każdego przybysza, że w pokoju niemalże wyczuwało się jego fizyczną obecność. Skończywszy rozmowę, ambasador wstał i podszedł do gościa. Średniego wzrostu, miał ciemną cerę i duże, nieco przestraszone oczy.

– *Mister Zieliński? Crime Department officer?*

– *Yes, it's me.*

– *Oh, my God, has anything happened?*

Łysy ominął zbędne wyjaśnienie, wyjął znalezione w samochodzie zdjęcie.



– Czy zna pan tego człowieka? – zapytał po angielsku.

– Tak, to pan Zarrin, nasz radca handlowy – odparł Irańczyk, wpatrując się w Łysego.

– Z przykrością muszę pana zawiadomić, że pan Zarrin został zamordowany wczoraj w nocy. Prawdopodobnie było to zabójstwo na tle rabunkowym. Zwłoki znaleziono dzisiaj rano o godzinie 4.30. Jego samochód znajdował się kilkadziesiąt metrów od tego miejsca. Jednocześnie – ciągnął Łysy – chciałbym pana zapewnić, że wkrótce znajdziemy sprawcę i wyjaśnimy wszystkie okoliczności tej zbrodni.

Ambasador przez dłuższą chwilę nie mógł wydobyć z siebie słowa.

– Pan powiedział, o której? – wydusił wreszcie. – O 4.30?

– Tak, o 4.30 znaleziono zwłoki – odparł Łysy. – Sekcja wykazała, że zabójstwa dokonano między godziną 20.00 a 22.00.

Ambasador nadal stał bez ruchu.

– Jak został zamordowany?

– Sekcja wykazała, że zabito go ostrym narzędziem, pchnięciem prosto w serce. Śmierć nastąpiła niemal natychmiast.

– Gdzie to się stało?

– Na ulicy Pionierskiej, na Górnym Mokotowie, nie wiem, czy zna pan tę okolicę.

– Nie, nie, to nieważne – półprzytomnie odparł Irańczyk. – Ja wiem, dlaczego go zabili – powiedział nagle, jakby coś odkrył. – Pan Zarrin był wyjątkowo ostrożnym człowiekiem. Zawsze z pięćdziesiąt razy sprawdzał miejsca, do których miał iść, ludzi, z którymi miał się spotkać. Nie, tego człowieka nie zabili złodzieje – patrzył Łysemu prosto w oczy i wyraźnie starał się opanować emocje. – Powiem panu, kto to zrobił. Mieliśmy już sygnały, że oni chcą za wszelką cenę zakłócić wizytę Jego Wysokości, naszego ukochanego szachinszacha. Oto, dlaczego pan Zarrin zginął.

Łysy zeszywniał. Zapytał ostrożnie:

– Czy ekscelencja wie, co to za ludzie?

Ambasador rozłożył ręce, jakby chciał powiedzieć: „to oczywiste”.

– Ci sami, którzy w Polsce dostali azyl jako uchodźcy polityczni – podkreślił ostatnie dwa słowa.

– Nie wiem, czy dobrze rozumiem – zawahał się Łysy. – Czy ekscelencja miał jakieś sygnały, że to właśnie oni mogą dokonać zabójstwa?

– A kto inny? – retorycznie zapytał ambasador. – Tylko oni! I muszę panu powiedzieć, że osiągnęli swój cel. Tak, tak, ta wizyta już stoi pod znakiem zapytania. Widać, że państwo polskie nie jest w stanie zagwarantować bezpieczeństwa szachowi.

– Panie ambasadorze, jako oficer prowadzący śledztwo mogę pana zapewnić, że w ciągu kilku dni wyjaśnimy tę sprawę i zatrzymamy zabójcę, a życiu Jego Wysokości nic nie zagraża.

– O nie! – zaprotestował Irańczyk. – Oni dali mi znać, tak, tak, to był sygnał dla mnie, że zaatakują szacha w czasie jego wizyty!

– Nikt nie jest w stanie zaatakować naszego dostojnego gościa, zapewniam pana – uspokajał go Łysy. Nie miał ochoty wysłuchiwać hipotez ambasadora, więc przeszedł do innej sprawy: – Chciałbym zebrać trochę informacji o panu Zarrinie i jego kontaktach tu, w Polsce.

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna  
Sam podszedł do biurka, wziął kartkę, napisał na niej kilka zdań i podał Łysemu.

– To jest telefon i adres pana Tehroniego. On udzieli panu wszelkich informacji o panu Zarrinie. Zadzwoń do niego i uprzedzę o pańskiej wizycie – podniósł słuchawkę i rozmawiał jakiś czas po persku. Kiedy skończył, zwrócił się do Łysego: – Pan Tehroni oczekuje pana u siebie, proszę się z nim jak najszybciej skontaktować. Uzależniam swoje dalsze decyzje od waszej rozmowy. Powodzenia.

Kiedy Łysy wrócił do samochodu, kierowca z miejsca go zagadnął:

– Panie kapitanie, może byśmy coś przekąsili? Pan chyba też jest głodny?

– Na razie jedziemy pod ten adres. Wtedy będzie pan miał więcej czasu, żeby coś zjeść.

– Cud się stanie, jeśli cokolwiek dziś przekąszę – zamruczał pod nosem kierowca.



– Przekąsi pan, przekąsi – odpowiedział zmęczonym głosem Łysy. Sam był straszliwie głodny, a jeszcze bardziej spragniony. Ukrył głowę w podniesionym kołnierzu jesionki i zamknął oczy.

Było dobrze po dziewiątej, kiedy Łysy dotarł przed dom Tehroniego, przypominający raczej małą willę. Na masywnych, wykonanych z kasztanowego drewna drzwiach nie było tabliczki z nazwiskiem, tylko miedziana szczelina na pocztę i rzeźbione ornamenty. Do domu przylegała szeroka żelazna brama, za którą widać było duży zadbane ogród, kilka jabłonek, pod którymi leżało mnóstwo niezebranych jabłek, i nieco dalej czarnego mercedesa. Ściany domu z góry na dół obrastał bluszcz.

Drzwi otworzył mężczyzna. Jak na Irańczyka wysoki, gładko ogolony, wyglądał na jakieś pięćdziesiąt lat. Od razu przedstawił się po polsku:

– Tehroni, radca handlowy w ambasadzie Iranu.

– Jerzy Zieliński – odwzajemnił się Łysy i uścisnął rękę gospodarza.

W korytarzu Tehroni powiedział:

– Proszę się rozebrać – wskazał wieszak. – W domu jest ciepło, moja żona lubi, żeby było ciepło.

Wystrój gustownie urządzonego salonu był typowo europejski. Orientalne akcenty wprowadzały tylko wzory obrusa i kilka perskich bibelotów. Na ścianie wisiało duże zdjęcie szacha w pięknych, zdobionych ramach.

– Kawy? Herbaty?

– Jeśli można, poproszę kawę.

Gospodarz domu wszedł do innego pomieszczenia i powiedział coś głośno po persku. Po chwili wrócił do salonu. Był wyraźnie przejęty, ale uparcie milczał. Wreszcie Łysy nie wytrzymał:

– Jeżeli dobrze słyszałem, pan jest radcą handlowym ambasady?

– Tak.

– Ale pan Zarrin też pełnił tę funkcję? – ostrożnie spytał Łysy.

– Widzi pan, ja kończę moją misję, wkrótce miałem wracać do kraju – wyjaśnił Tehroni. – Pan Zarrin przyjechał wcześniej, żebym mógł zapoznać go z tutejszymi ministerstwami i instytucjami, ludźmi

związanymi z przemysłem, gospodarką. Szczególnie teraz, kiedy między naszymi krajami tak świetnie rozwija się współpraca gospodarcza... – zawiesił głos.

– Jak długo pan Zarrin był tutaj?

– Około miesiąca.

– Czy przez ten czas nawiązał już jakieś kontakty?

– Tak – odpowiedział Irańczyk. – Ambasador uprzedził mnie, o co pan będzie pytał, dlatego przygotowałem dla pana listę instytucji i ludzi, z którymi pan Zarrin się kontaktował. Wszystko jest na tej kartce.

Do salonu weszła kobieta, raczej ładna, ubrana w długą, czarną sukienkę. Głowę przykryła czarnym tiulem. Widać było, że dba o wygląd. Lekkim skinieniem głowy przywitała Łysego i postawiła na stole tacę. Stał na niej duży, porcelanowy dzbanek kawy, mały dzbanuszek ze śmietanką, filiżanka na spodku, obok trzy talerzyki. Na jednym *peste* – prażone w soli orzeszki pistacjowe, na drugim kawałki ciasta, na trzecim zaś *giaz* – perskie słodczyce, specjalność Isfahanu. Wszystko to było dla gościa. Kobieta odeszła tak samo cicho, jak się zjawiała. Pan Tehroni nie przedstawił jej. Mogła to być jego żona, ale równie dobrze siostra albo służąca.

W pokoju znów zapanowało niezręczne milczenie. Łysy nalał sobie kawy, dodał śmietankę i zaczął pobieżnie czytać listę, którą przygotował dla niego Tehroni. Potem schował kartkę do kieszeni i zapytał:

– Czy Zarrin był pana przyjacielem, czy tylko współpracownikiem?

– Był moim bardzo serdecznym przyjacielem, dlatego do tej pory nie mogę pojąć i uwierzyć, że go nie ma.

– Rozumiem – powiedział Łysy. – To rzeczywiście wstrząs. Przepraszam, że zadaję panu takie pytania, ale czy Zarrin jeździł konno? Znalazłem w jego samochodzie zdjęcie – pokazał fotografię Tehroniemu. – To tutaj robione, prawda?

– Tak, w Polsce – potwierdził Irańczyk. – To piękny koń, opowiadał mi o nim, chciał go kupić, mówił mi nawet, gdzie go znalazł, ale nie

pamiętam nazwy miejscowości, to jakieś sto pięćdziesiąt kilometrów od Warszawy.

– Kiedy opowiadał panu o tym koniu?

– Dwa tygodnie temu, może więcej.

– Panie Tehroni, znaleźliśmy samochód pana Zarrina na ulicy Pionierskiej. Zabójstwa dokonano między 20.00 a 22.00. W jego krwi było 2,8 promila alkoholu. Musiał więc być tam u kogoś, może spotkał się z kimś? Może z kobietą? Jak pan sądzi? Czy zna pan ten adres?

– Pan Zarrin, o ile wiem, miał jakąś... powiedzmy, przyjaciółkę, był dosyć przystojny, podobał się Polkom. Powiem panu szczerze, że nie rozmawialiśmy na ten temat. My, Irańczycy, raczej w ogóle nie poruszamy takich tematów. Niestety, nie potrafię panu nic powiedzieć ani o tej ulicy, ani o kobiecie, z którą się spotykał. Mimo że zależy mi na współpracy z panem.

– Dziękuję, że chce pan pomóc – odparł Łysy. Wyciągnął z kieszeni kawałek papieru i pokazał Tehroniemu: – To jest kartka napisana przez kobietę, prawdopodobnie pozostawiona dla pana Zarrina. Pismo się rozmazało, ale kilka słów da się odczytać. Podpisane: „twoja Kicia”.

– Kicia... – powtórzył jak echo Irańczyk. – To imię kobiety?

– Nie, Polacy czasem mówią tak pieszczotliwie do swojej dziewczyny albo żony – powiedział Łysy, uśmiechając się.

Tehroni uniósł brwi i jednocześnie wysunął dolną wargę.

– Widać, że ta kobieta musiała być z nim bardzo blisko, skoro tak ją nazywał – podsumował Łysy.

– Kicia – powtórzył Tehroni z namysłem. – Nie, nie słyszałem.

– Czy zdarzało się, żeby pan Zarrin nie wracał na noc do domu?

– Cóż, spał w pokoju gościnnym w ambasadzie, więc nie wiem, czy wracał, czy nie wracał.

– Ach tak, myślałem, że pan Zarrin przyjechał tu z rodziną.

– O nie, on nigdy nie był żonaty.

– Rozumiem – odpowiedział Łysy.

– Jeżeli wolno mi – podjął Tehroni – wypowiedzieć moje zdanie na temat tego ohydneho mordy, bo tylko tak można określić to, co się

stało, warto by zwrócić uwagę na środowisko irańskich komunistów przebywających w Polsce. Mieliliśmy już sygnały, że chcą narozrabiać tuż przed wizytą naszego szacha. Wie pan, dlaczego? Proszę posłuchać słów Jego Wysokości i porównać z przemówieniem przywódcy ZSRR. Mówią dokładnie tym samym językiem: postęp, pokój międzynarodowy, współistnienie dwóch systemów. „Biała rewolucja” szacha zakłada to, o czym krzyczą komuniści. Szach daje ziemię chłopom, unowocześnia kraj, rozbudowuje przemysł, prywatyzuje przedsiębiorstwa. Ogłoszona przez szacha rewolucja jest jedną z najoryginalniejszych w historii ludzkości. Nasi komuniści tracą grunt pod nogami, bo to, co oni postulują, szach już realizuje. I chcą zepsuć stosunki polsko-irańskie. To dlatego mój przyjaciel musiał stracić życie. Oczywiście, pan będzie szukać wszędzie tam, dokąd prowadzą ślady. Ale jeśli mógłbym panu coś doradzić, to niech się pan rozejrzy wśród nich.

– Pan ambasador też o tym wspominał – powiedział Łusy. – Tak, uwzględnimy panów sugestie.

Sięgnął do kieszonki po papierosa, ale Teherani szybkim ruchem otworzył przed nim złotą papierośnicę:

– Może winstona?

– Chętnie – Łusy się poczęstował. Irańczyk zamknął papierośnicę. Na złotym wieczku wygrawerowana była korona dynastii Pahlawich.

– Sam szach często daje takie prezenty. Tę papierośnicę i jeszcze kilka innych dostałem od jego brata, aby podarować ludziom, którzy nam pomagają. Proszę, to dla pana.

Łusy z uśmiechem uniósł dłonie do góry:

– Dziękuję bardzo, to zaszczyt dla mnie, ale my, Polacy, mamy takie powiedzenie: „Nie mów hop, póki nie przeskoczysz”. Chętnie bym przyjął taki prezent, najpierw jednak chciałbym schwytać mordercę, inaczej czułbym się nieswojo.

– W każdym razie papierośnica należy już do pana.

Łusy jeszcze raz podziękował. Po chwili dodał:

– Mam nadzieję, że ta tragedia nie zakłóci przyjazdu szacha do Polski. Gdyby stało się inaczej, to – jeśli przyjmujemy tok pańskiego

rozumowania – wasi przeciwnicy mieliby satysfakcję, że osiągnęli cel. Zaręczam, mogą państwo mieć absolutną pewność, że nic nie zagraża bezpieczeństwu Jego Wysokości.

– Wszystko zależy od powodzenia pańskiego śledztwa – powiedział Tehroni. – Mam nadzieję, że w ciągu kilku dni przedstawi nam pan dowody, iż śledztwo idzie w dobrym kierunku. Jeśli tak, to wszystko będzie w porządku.

Łysy zrozumiał, że postawiono mu warunek, który odtąd będzie wisiał nad nim jak miecz Damoklesa. Był teraz pewien, że Irańczycy chcą, aby za wszelką cenę wciągnął do tej zbrodni uchodźców. Kawa postawiła go na nogi. Dopiero teraz chętnie by porozmawiał, ale czuł, że stary lis nic więcej mu nie powie.

Kiedy opuścił dom, przyszło mu do głowy, żeby może rzeczywiście rozpatrzeć się najpierw w środowisku uchodźców. Nie dlatego, że poddał się obsesyjnym sugestiom obu Irańczyków; po prostu dostrzegał w nich pewną logikę. Niedaleko stała budka telefoniczna. Zadzwoił z niej do Domu Partii. Gdy odezwała się centrala, poprosił o połączenie z kimś, kto zajmuję się grupą irańskich uchodźców. Dziwnym zbiegiem okoliczności towarzysz, z którym go połączono, nazywał się dokładnie tak samo jak on – Jerzy Zieliński. Łysy przedstawił sprawę i poprosił o spotkanie. Okazało się, że tego dnia towarzysz nie może, bo ma zebranie, ale podał nazwisko i adres opiekuna całej grupy Irańczyków. Zapewnił, że to człowiek uczynny i godny zaufania.

Kiedy Łysy wrócił do samochodu, kierowca oznajmił, że chwilę wcześniej wzywano go przez radio. Zaraz po pracy ma zameldować się w Biurze Śledczym Urzędu Bezpieczeństwa. „Aż tak?”, pomyślał ze zdziwieniem i od razu poczuł się nieswojo: nie lubił, kiedy inni wtrącali się do jego pracy.

Poprosił kierowcę, by zawiózł go na ulicę Narbutta. Po półgodzinie był na miejscu. Wszedł na trzecie piętro, zadzwonił pod numer 14. Drzwi otworzyła starszawa kobieta. Miała włosy lekko przyprószone siwizną i duże czarne oczy, a na jej twarzy wciąż jeszcze znać było ślady dawnej urody.

– Czy zastałem pana Abdol-Hosejna Pedara? – zapytał.

– Tak – odpowiedziała. – Pan do niego?

– Tak, nazywam się Jerzy Zieliński, chciałem porozmawiać z panem Pedarem.

Kobieta uśmiechnęła się życzliwie.

– A, to pan. Proszę, proszę, niech pan wejdzie, zaraz go zawołam. Jest na dole, ale tam jeszcze bałagan, więc przyjdzie tutaj, niech pan usiądzie. Herbaty? – spytała na koniec.

– Nie, nie, dziękuję – odparł Łysy.

– To żaden kłopot – kobieta zebrała do plastikowego koszyka kilka ręczników i prześcieradeł, które leżały na ziemi, i wyszła. Łysy odniósł wrażenie, że musiała go pomylić z tym opiekunem Irańczyków z KC. Widział, jak zareagowała na znajome nazwisko.

---

Zapraszamy do zakupu pełnej wersji książki

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna

Wydawnictwo Akademickie  
DIALOG

specjalizuje się w publikacji książek dotyczących języków, zwyczajów, wierzeń, kultur,  
religii, dziejów  
i współczesności świata Orientu.

Naszymi autorami są znani orientaliści polscy  
i zagraniczni, wybitni znawcy tematyki Wschodu.

Wydajemy także przekłady bogatej  
i niezwyklej literatury pięknej krajów Orientu.

Redakcja: 00-112 Warszawa, ul. Bagno 3/219

tel.: +48 22 620 32 11, +48 22 654 01 49

e-mail: [redakcja@wydawnictwodialog.pl](mailto:redakcja@wydawnictwodialog.pl)

Biuro handlowe : 00-112 Warszawa, ul. Bagno 3/218

tel./faks: +48 22 620 87 03

e-mail: [biurohandlowe@wydawnictwodialog.pl](mailto:biurohandlowe@wydawnictwodialog.pl)

[www.wydawnictwodialog.pl](http://www.wydawnictwodialog.pl)

Wydawnictwo Dialog (c) Copyright wersja elektroniczna